GŁOS

TYGODNIK POLSKIEJ MYŚLI NARODOWEJ

Rok VI — Nr. 10 Poznań, dnia 15 marca 1936 Cena 20 gr

Jan Świerzowicz, Poznań

BIBLIA PAUPERUM

(Oblicza wsi dzisiejszej)

I.

Wyszła książka*), która mimo smutnej przygnębiającej, czasami nawet ponurej treści, sprawia naogół wrażenie dodatnie, krzepiące... Gromadzi ona bezcenny materjał z pierwszej ręki, ze źródła samego, do poznania wsi i panujących tam stosunków na przestrzeni ostatnich lat kilkudziesięciu. Wieś została pokazana od dołu, od wnętrza, z okien chaty, a nie z płaszczyzny biurka urzędniczego w mieście. Nie przez pryzmat fantazji, nie na nitkach złotych lub srebrnych, płynących z serca wielkich czy małych poetów. To dokument bezpośredni, to powieść życia niezakłamana niczem, to wielka zbiorowa spowiedź. To nie refleks rzeczywistości wiejskiej, jak on się odbił we wrażliwej duszy poety. Może to nie cała prawda o wsi dzisiejszej i jej życiu, ale z pewnością wszystko, co zostało tu napisane jest prawdą.

Czyta się te „Pamiętniki Chłopów", nr. 1—51, jak najbardziej zajmującą powieść, ba, nieraz czyta się jak reportaż odkrywczy o rzeczywistości dla nas jakieś dalekiej i nieznanej (np. gdy pamiętnikarz opisuje stosunki, panujące na kresach wschodnich).

Krzepiącego wrażenia doznaje się z tego powodu, ponieważ widzimy, że w życiu wsi dokonywa się głęboka przemiana. Wieś sama garnie się do świata, chce być czynnikiem współtworzącym formy życia, wyszła ze swej bierności, chce z całkowitą świadomością być czynnikiem los swój budującym. Instytut Gospodarstwa Społecznego zebrał obfity nader plon — na wezwanie nadesłało 498 pamiętnikarzy z całej Polski swoje pisma, z nich zakwalifikowano i wydrukowano 51, więc liczbę pokaźną. Można je uważać wszystkie za głos reprezentatywny wsi dzisiejszej w Polsce.

II.

Jeżeli chodzi o indywidualność autorów, bogata tu różnorodność talentu, usposobień, wykształcenia: od analfabety, który dyktuje synowi, aż do pamiętnikarza o średniem wykształceniu. Wszyscy zadanie swoje ujęli bardzo poważnie, bardzo rzadko trafiają się wyrażenia niewłaściwe. Panuje tu atmosfera nadzwyczaj czysta, a co najbardziej cenne i budujące to ten **brak stanowości, wszyscy bezmała czują się członkami wielkiego narodu polskiego.** To poczucie biologicznej łączności żywiołu chłopskiego z całym narodem, jako części integralnej, jest cechą charakterystyczną dla pamiętników. Wielu z pośród pamiętnikarzy wyraża się z zachwytem o Mickiewiczu, Sienkiewiczu, Rodziewiczównie. Dowodem powagi, cechującej życie wsi dzisiejszej, niech będzie nikle reprezentowany w „Pamiętnikach" pierwiastek erotyczny. Niezawsze jest to następstwem nieumiejętności opisywania uczuć delikatnych i subtelnych, częściej występuje ocenianie tych spraw, jako drugorzędnych w porównaniu z innemi sprawami życia.

III.

Pamiętnikarzy cechuje głębokie umiłowanie wsi i swego warsztatu pracy. Dążą oni w sposób naturalny i żywiołowy do polepszenia tego warsztatu. Jakaż skala tych warsztatów od kresów wschodnich, od prymitywów niemal przeddziejowych, do metod życia kulturalnego na zachodnich rubieżach Polski!

Z województwa warszawskiego wydrukowano 6 pamiętników, z łódzkiego 11, kieleckiego 4, lubelskiego 9, białostockiego 5, wileńskiego 4, poznańskiego 3, krakowskiego 7, lwowskiego 1 i tarnopolskiego 1. Stan posiadania pamiętnikarzy jest rozmaity: od bezrolnych, małorolnych do gospodarzy na dużych obszarach. Jest to więc obraz wsi naprawdę bardzo rozległy i plastyczny. Pamiętnikarze piszą o wszystkiem, co ich interesuje, ale nietylko o sobie — owszem często malują przeżycia całej wsi w czasie wojny, położenie robotnika na emigracji w Niemczech czy Ameryce. Zasięg czasu bardzo rozległy: są wspomnienia czasów pańszczyźnianych, od 1810 — przeżycia wojny węgiersko-austrjackiej, są wspomnienia wojny rosyjsko-japońskiej, a nadewszystko świeże wspomnienia wojny światowej, oraz wojny polsko-bolszewickiej. Niekiedy plastyka pamiętnikarza w opisywaniu swych przeżyć osiąga duży stopień artyzmu.

IV.

Dowiadujemy się, jak sam chłop mówi, o przemianie duszy austrjackiej w polską pod



Fot. J. Bułhak

wpływem oświaty — poznajemy głęboką jego troskę o byt całej ojczyzny, chociaż na czoło wiejskiej sprawy wysuwa się troska o dzień dzisiejszy, o przetrwanie czasów ciężkich. I tu roztacza się przed naszemi oczyma iście balzakowska fizjologja wsi polskiej współczesnej nietylko od strony jej potrzeb duchowych i kulturalnych, ale i materjalnych.

Warunki, wśród których żyją, są okropne, niedoceniane przez ogół społeczeństwa, a pogorszyły się one nagle w ostatnich kilku latach. Wszyscy jednozgodnie twierdzą, że przyczyną tego zjawiska jest nierównomierność między przemysłem a rolnictwem, zbyt wielkie ciężary fiskalne, obojętność czynników oficjalnych.

Niektórzy z pamiętnikarzy idą zbyt daleko w ocenie przyczyn, tracąc z oczu całość i upraszczając skomplikowane przyczyny. Wieś produkuje środki żywności, ale sama braki cierpi.

„Wiele jest takich rodzin, co chleb pieką tylko w żniwa zaraz z nowego, a później tylko na wielkie święta, to jest cztery lub pięć razy na rok" (str. 13-14 woj. warsz.).

Cukru, nafty brak w całej Polsce. Inny chłop z łódzkiego skarży się:

„Nasze dzieci zdrowe, żyźkie, nie mają co czytać, to też rzną się nożami aż krew pryska i to im na dzisiaj wystarczy, ale co później będzie, to się zobaczy, poczeka." (str. 77).

I ten sam chłop pisze dalej:

„Myślę, że gdyby tak szatan przejrzał się dokładnie nędzy dzisiejszej, toby się zrobił aniołem. Ten tylko może znać nędze, kto ją przeszedł, a ten, kto ją widział, może o niej tylko mówić". (str. 79).

Chcą pracy i sprawiedliwego podziału owoców jej pomiędzy wszystkich pracujących, dziś wydziedziczonych, głodnych i poniewieranych. Życie wsi nieraz wraca dzisiaj do pierwotnych form bytowania, zamiast zapałek używają hubki i krzesiwa.

„Jeżeli wieś nie odzyska dawnej siły nabywczej przez zrównoważenie cen przemysłowych z cenami rolnemi, to następstwa będą nieciekawe, bo zrujnowane rolnictwo pociągnie za sobą ruinę gmachu państwa" (str. 117) —

tu skarga chłopa z łódzkiego staje się niejako refrenem w całej książce.

Upominają się chłopi o świetlice po wsiach, gdzieby się mogli zbierać i naradzać, o świecie dowiadywać. Pęd do kultury jest powszechny i spontaniczny.

„Chłopi to raczej jacyś marzyciele-poeci, którzy nie dla własnych wygód, ale żyją dla kraju. Życie tych mało- i bezrolnych ludzi na wsi, których nie widzi rząd, to nie żadna przyjemność, a raczej jakieś niezgłębione piekło czy wieczna pokuta za winy niepopełnione". (str. 125 woj. łódzkie).

Głód w innych czasach powodowany był epidemjami i innemi klęskami elementarnemi; dziś przy nadmiernej produkcji rolnej i każdej innej — winy szukać trzeba gdzieindziej — w kartelach. Jeżeli w roku 1926 Instytut Puławski stwierdził przeciętny rozchód pieniężny w ciągu roku na osobę około 155 zł, to dziś (1933) już ten rozchód roczny nie sięga 50 zł. Koszt żywienia w wielu wypadkach nie przekracza 30 gr. na osobę (woj. łódzkie). Budownictwo zamarło naskutek wyzysku kartelu cementowego. Widza też chłopi z łódzkiego przeszkodę w żydkach po miastach, dzięki nim bowiem nadmiar ludności wiejskiej niema się gdzie podziać. **Wogóle usposobienie ich jest antyżydowskie.** Głosy z Łódzkiego są wyrazem najgłębszego uświadomienia.

„I przyjdą czasy, kiedy lud, świadom swej kultury i siły moralnej, wyda wśród siebie jednostki, które odrodzą życie". (tamże str. 184).

„Bo chłop ma w swym charakterze cechy nadzwyczaj dodatnie. Pozwólcie mu tylko wyrobić się — ukształtować swój umysł, a rozwinie on w całej pełni swe wartości człowieka natury. Przyjrzyjcie mu się jak on od świtu do nocy zabiega. Rzućcie na te miljonowe masy spojrzenie, gdy o wiośnie lub słotną jesienią kroczy przez pole, uprawiając je w pocie czoła. Oceńcie tę mrówczą pracę i wydajcie sami opinję o tych, którzy ją wykonują". (Łódź, str. 201).

Jakiż bolesny kontrast stanowią opisy zajść z sekwestratorami na wsi dzisiejszej, zwłaszcza z powodu ich metod bezwzględnych i bezlitosnych.

Naogół wojnę światową oceniali w ten sposób, że obali ona obłudę, fałsz i niesprawiedliwość — niestety — stało się przeciwnie,

„bo prawda została zgromionna, fałsz opanował życie i wziął górę nad sprawiedliwością" (woj. kiel. str. 295).

Goryczą zaprawione są wynurzenia pamiętnikarzy z woj. lubelskiego.

„Życie jest piękne, ale nie dla ludzi biednych. Przyroda to skarb człowieka, lecz ludzie nie są zdolni cieszyć się przyrodą, a nawet nie mają czasu ją poznać". (str. 343—344).

Oni też jawnie oświadczają swą dumę ze swego pochodzenia wiejskiego. Lubelszczanie znają już i uniwersytety ludowe i żywo interesują się życiem społecznem.

Zgrozą przejmują wiadomości z Wileńskiego, że chleb z mchem jedzą, chociaż na piersi taki chleb niezdrowy. A pamiętnikarz z Krakowskiego swoje czasy porównuje wprost z czasami faraonów (str. 635). Czyż dziw, że dla nich najlepsza pocieszycielka to śmierć (str. 641). Inteligentny wieśniak upatruje w życiu chłopa następujące nieszczęścia: w walce z przyrodą naogół chłop posługuje się środkami prymitywnemi — skutkiem czego klęskę ponosić musi, straty poniesione wskutek dewaluacji pieniądza, pożary, choroby i — **żyd,** a zwłaszcza zadłużenie u niego.

V.

Przetrwał chłop niejeden kataklizm dziejowy, przetrwa i dzisiejszy kryzys, chociaż obecne położenie wydaje mu się zupełnie beznadziejne. Oceniając położenie wsi na podstawie „Pamiętników" zobaczymy, że aczkolwiek wszędzie jest źle, to najgorzej i pod względem materjalnym i moralnym jest w województwach kresowych.

Autorowie przytaczają szereg przykładów zdziczenia moralnego zwłaszcza wyrostków i młodzieży. Gra w karty, pijatyka (samogonka) a nawet zabójstwa, kradzież — oto skutki głodu, nędzy, bezrobocia na wsi. Sarkanie na Polskę odezwie się tu i ówdzie, stosunkowo jednak jest tego niedużo.

Charakterystyczne są głosy niektórych pamiętnikarzy o ograniczeniu przyrostu ludzi biednych jako warunku poprawy stosunków na wsi. Wspominają też o „Malthusie" i różnych „babkach". — Zastanawiają się nad genezą „kryzysu", wyprowadzając go ze wschodu, z „Azji". We wspomnieniach widnieją „złote czasy" zaraz po odzyskaniu niepodległości i czasy błogosławione między 1925 a 1930 r. włącznie. Najgorsze to „teraz".

Trzeba przyznać, że lektura tych pamiętników jest czasem nieco nużąca, a to z tego powodu, że ciągle jedne i te same narzekania. Natrafia się jednak często na żyły złotego kruszcu talentu autorów, z których byliby i dobrzy filozofowie i publicyści i poeci i prozaicy, gdyby mieli więcej wykształcenia. Doskonałe to materjały do poznania środowiska chłopskiego.

Książkę poprzedził wstępem Ludwik Krzywicki, poczem idzie dokładna i wszechstronna analiza wszystkich nadesłanych blisko 500 pamiętników, oraz przejrzysta mapa miejscowości, z których pochodzą pamiętnikarze. Największe zagęszczenie wykazuje woj. krakowskie, lubelskie, potem poznańskie, najsłabsze poleskie i wołyńskie.

*) „Pamiętniki Chłopów". Nr. 1—51. Instytut Gospodarstwa Społecznego. 1935. Warszawa. Str. XVI (1 knlb.) 1 knlb. (str. 714) 5 knlb.

Jan Bielatowicz, Kraków

„Zmory" na tle współczesności

Kiedyś Tołstoj, krytykując współczesną sobie sztukę, stwierdził, że ponieważ wyschły dla niej źródła etyczne, dla sztuki najistotniejsze, zastąpiła je ona, chcąc bawić — erotyzmem, niejasnością, efektem. Zrezygnowała z żywienia uczuć na korzyść działania na nerwy. Sztuka — woła Tołstoj — jest „sumieniem religijnem epoki" — to zapewne była przesada. Ale trudno nie zgodzić się na inny pogląd Tołstoja, że sztuka treścią swoją i ideami powinna zarażać — wywoływać jednorodne odczucia w duszy artysty i wszystkich jego czytelników. W każdym razie sądzić sztukę ze stanowiska tylko estetycznego, ze stanowiska przerafinowanego i punktualnego czytelnika nowości pisarskich — to za mało. Bo sztuka potrąca w duszy naszej nie jedną tylko strunę piękna, ale wszystkie jej władze. Sztuka oczywiście zależy przedewszystkiem od twórcy. W nim wszakże doszukiwać się wolno ideałów moralnych.

„Więc — jak stwierdza prof. Chrzanowski w ostatniej swej książce p. t. „Literatura a naród" — sądzić sztukę jedynie ze stanowiska estetycznego byłoby zapoznaniem nietylko wszechstronnego wpływu sztuki, ale także jedności duszy ludzkiej".

„Zapewne, — pisze dalej Chrzanowski — rozpatrywanie czyjejś twórczości ze stanowiska moralno -społecznego nie dla każdego twórcy będzie rzeczą miłą: bo rezultatem takiej krytyki może być wniosek, że w czyjej poezji nie dźwięczą zupełnie, albo, co jeszcze gorsza, dźwięczą fałszywie struny moralne i społeczne, ten w duszy swojej strun tych nie posiada"...

Dziś — o Polsce mówimy — literatura po największej części wskutek szczególnych warunków jej kultywowania, utraciła zasady już nie życiowo etyczne, ale wręcz postradała własne miary moralne, moralne kryterja sztuki. Zapatrzono się w przedziwne ideały — ideałem jest wszystko, co nieznane i dziwaczne. Do znudzenia powtarza się o kimś, kto pisze, że dzieło jego jest „żywe", że on sam jest lub ukazuje „żywego człowieka", że „przełamał konwenanse". Oto nowoczesne pasowanie na rycerza sztuki.

Dostrzegalną istotą moralności jest przymus albo dobrowolne ograniczenie. Na tem polega kultura, obyczaj towarzyski, stosunki między ludźmi. Są konieczne w życiu intymnem, prywatnem, rodzinnem, zbiorowem tajemnice, szyfry, symbole, milczenie. Szczerość niepohamowana jest czasem głupotą, czasem wyuzdaniem, czasem zabija. Jakżeby wyglądał człowiek, który mówi wszystko, co odczuwa i przeżywa, a po męsku spraw tych dzielić i hierarchizować nie umie? Byłby to śmieć ludzki. Czy dobrze — aby rzucić przykład aktualny — przysłużył się piłsudczykom i pamięci swego wodza gen. Składkowski przez rozbrajającą szczerość „strzępów meldunków" — trzeba wątpić. Potrzebne są ponadto w życiu zapory na drogach do wybujałej szczerości. Przecież szatańskie jest hasło: „Eritis sicut dei, scientes bonum et malum".

W literaturze owem ograniczeniem, owym progiem moralności — to stylizacja, konwenans, przyzwoitość pisarska. Warto podziwiać, jak tej granicy dobrowolnie nie chciał przekroczyć Żeromski, choć chyba namiętność jego i „potrzeba nowego wyrazu" była i jest nieporównana. Artysta prawdziwy walkę z błotem toczy wewnątrz duszy, od tego jest l'âme profonde — jakby powiedział Bergson. Nazewnątrz dzieło sztuki jest już tylko walną bitwą, wahania co do jej potrzeby są skończone. Wzięcie pióra do ręki jest już startem rakietowego wozu, nie czas na badanie toru. Tacy byli nasi wielcy pisarze, nawet i szczególnie osobisty Kasprowicz.

Tymczasem dziś obserwujemy literaturę umysłowo, a conajmniej nerwowo schorzałą. Są to przejawy nicowania wszystkiego, gadulstwa, paplania, nieprzyzwoitości. Nierzadkie są dziś nawet opisy czynności fizjologicznych. Np. p. Goldberg-Krzywicka opowiada nam o intymnych kłopotach swej płci i nietylko swojej — w literaturze oczywiście, nie w piśmie lekarskiem. Uniłowski nie powstydzi się swego męskiego niedołęstwa, ba! — chce wyjść na jego apostoła. Tuwim zależnie od pory roku raz napisze wiersz „Do generałów", innym razem na rocznicę 11-go listopada. Słomiński uważa, że „Rodzina", to genjalna obserwacja.

P. Hemar nawet wyda odezwę:

„Nie bądźcie tacy drażliwi!
Nie bądźcie tacy surowi!
Pozwólcie czasami trochę
Poszargać satyrykowi!

Pozwólcie mu trochę pohulać,
Gdy go zaświerzbi jęzór.
Dość mamy jednej cenzury,
Nie róbcie prywatnych cenzur."

W takiej atmosferze kwitnie plotka, złośliwość, krzywda. Boy przecież jedną bajką chce stanąć ponad całym obozem uczonych. Cui bono to wszystko? Nie chcąc być posądzonym o sugestję urojonych fantomów — ograniczę się do stwierdzenia, że to potrzebne jest naturze pewnego odłamu ludzkiego: Tuwim, Słonimski, Krzywicka, Hemar. A Uniłowski? a Boy? a Zegadłowicz? Otóż — Zegadłowicz. Czytajmy ocenę naczelnego — chyba naczelnego? — krytyka obozu „Wiadomości Literackich" p. Breitera, właśnie Breitera:

„Bo przecież Zegadłowicz był dotąd — i słusznie — poniekąd nieuznawany w świecie pisarskim (czytaj w „Wiadom. Liter."). Raził w nim nadmiar nieopanowanego bełkotu lirycznego..." Nagle: rewelacja — „z entuzjazmem odnieść się trzeba do wytrwałego samotnika z Gorzenia Górnego". „Mądra i odważna książka, poświęcona walce człowieka ze światem i z samym sobą o własny, niezależny wyraz". Sądziłby kto może, że w „Zmorach" niema „bełkotu lirycznego"? Aż się pieni! Ale jest i pogłębiony realizm. Tok pogłębiony, że głębszy już być nie może. Zegadłowicz umie być realistą i wyzbywa się liryzmu, gdy idzie o te głębie. Więc właśnie, gdy pokazał co umie, powitał go aplauz wstępnego artykułu w „Wiadomościach Literackich". Najwyższą cenę uzyskał od p. Breitera, taką taksę: „Zegadłowicz jest realistą w najwyższym stylu. Rzeczywistość jego składo się ze spraw błahych i tragicznych, śmiesznych i budzących grozę. Na wszystko patrzy z pobłażaniem filozofa i uśmiechem mędrca, który zrozumiał istotny sens życia."

Już wiemy, co to jest istotny sens życia: ośmieszanie rzeczy poważnych, paplanina, opis domów publicznych i niewybrednych stosunków płciowych. Najwięcej porywa herolda „Wiadomości" słownictwo Zegadłowicza: „Jakieś surowe prawdy — pisze — podpłynęły pod jego wzrok, nieznane słowa nawinęły mu się pod pióro". Rzeczywiście — w literaturze dotąd wielu słów, których użył w „Zmorach", nie znano, znano je zato z parkanów na przedmieściach i jeszcze z innych miejsc. Oto ideał nieuporządkowanej paplaniny, szczerości w imię niby prawdy. Oto to ideał firm skupionych koło „Wiadomości Literackich" i wogóle literatury półoficjalnej (bo oficjalna jest państwowotwórcza). Te firmy, a raczej ta firma ma swoją taktykę i swoje kryterja. Aby awansować do jej pochwał, trzeba chcieć i umieć przejść pewne stopnie. Umiejętnie są tam dobrane polskie nazwiska, albo mało warte, albo w sposób specjalny na pewne drogi zapędzone. Nie są to napewno ani katolicy, ani t. zw. reakcjoniści. Jest to chytra droga wpływu na umysłowość polską, w miarę możności przez samych Polaków. Szczególnie uderzający jest tu stosunek do katolicyzmu. Wszyscy ci konwertyci na ideologję „Wiadomości Literackich" stają się odrazu bojowcami, mało — męczennikami. „Tęsknotą Torquemadów" nazywa Zegadłowicz potępianie jego dzieła. Zapomina, że Rostworowski odsyłał go tylko do lekarza.

Zdaje się prywatną własnością p. Zegadłowicza jest jego pycha. Taki Mik — cóż to za święte dziecko! Któżby pomyślał, że to święte dziecko tak do starości wszystko porządnie, dokładnie, głęboko, z pasją zapamięta. Jakież to przemiłe paniątko — czyściutkie, ale pod szopą Raciatego stało do końca, dopiero potem cierpiało. O zacięciu megalomańskiem autora „Zmór" świadczy zestawianie swojego dzieła z „Dziejami grzechu". „Dzieje grzechu" to nieskalany symbol walki z szatanem, to szlachetna utopja, a „Zmory"? „Zmory" przez paplaninę chcą być oryginalne. Nie stać już Zegadłowicza na poezję. „Zmory" są rozpaczliwem ściganiem uchodzącej poezji. Ale to nieopanowane ściganie za nią zrodziło tylko wymioty.

Współczesna powieść bieży po dwóch torach: faktograficznym i psychologicznym. Psychologiczna bardzo często przemienia się w psychopatologiczną. Są teoretycy, którzy myślą, że niema innych dróg dla powieści psychologicznej. Tą to drogą poszedł Zegadłowicz, drogą, literaryzowania patologji instynktu, przyczem wszczepił do swojej powieści i realizm nagich faktów. Nie dowodzi to wcale, że dobrze zrobił. Powieść psychologiczna ma cudowne możliwości. Przykładem „Noce i dnie". W tej powieści seksualizm np. jest zupełnie stłumiony i dzieło to mimo to nic nie straciło.

Można się sprzeczać, czy celem literatury jest samo piękno, i czy wszystko, co jest tworzywem sztuki, musi być piękne. To jednak jest pewne, że omawiane dzieło Zegadłowicza jest szkodliwe, bo zaraża złemi uczuciami i wyobrażeniami. Czytelnik jest artystą uzupełniającym lub interpretującym w swojej duszy twór autora.

Czas, w którym powstają takie dzieła jak „Zmory", jest okresem rozpadu dotychczasowej kultury. Kultury liberalnej, egoistycznej, wynaturzonej estetycznie, bezideowej, kultu plotki, paplaniny i efektu, a przedewszystkiem nieodpowiedzialności. A są już znaki, że będzie w Polsce kultura nowa — idealistyczna, społeczna. Ta będzie n a r o d o w ą.

Kazimierz Suchodębski, Poznań

JACQUES BAINVILLE

Śmierć Bainville'a przynosi dużą stratę grupie czołowych umysłów współczesnej Francji. Był to intelekt o niezwykle szerokich horyzontach. Swe tezy polityczne budował na gruntownych studjach historji politycznej. Przedwojenna praca „Le coup d'Agadir" wysunęła go do rzędu najlepszych znawców polityki zagranicznej. Jego publicystyczne uwagi w tej dziedzinie czytało się zawsze z największem zainteresowaniem. Do zawartego świeżo paktu francusko - rosyjskiego ustosunkował się Bainville negatywnie, uważając, że Francja może posiadać jeden tylko sojusz, z Anglją.

„Można nawet sądzić — pisał tuż przed śmiercią, 30 stycznia 1936 r. — że im więcej będziemy się zbliżali do Rosji, tem więcej Anglja zbliżać się będzie do Niemiec i szukać u Hitlera zabezpieczenia od zdarzeń, na które wystawia nas pakt ze Stalinem". O sojuszu analogicznym z Rosią carską, zauważał Bainville tuż po zawarciu traktatu wersalskiego, 14 lipca 1919 r.: „Francja uważała sojusz z Rosją za gwarancję pokoju. Tymczasem przez ten właśnie sojusz doszło do wojny. Po tem doświadczeniu można być sceptykiem". Tak też odniósł się do świeżego paktu francusko - sowieckiego, wypowiadając przed swą śmiercią obawę, czy w wypadku konfliktu zbrojnego z Niemcami, Rosja znowuż nie zechce zawrzeć oddzielnego pokoju z Niemcami, pozostawiając resztę krwawego trudu Francji.

Najwięcej uwagi poświęcił Bainville stosunkom francusko - niemieckim, gdyż „naród niemiecki — pisał w „Histoire des deux peuples" (1915) — jest jedynym, którym Francja musiała się zawsze zajmować, który zawsze wymagał najżywszego pilnowania". Niemcom też poświęcał swą pierwszą pracę historyczną („Louis II de Bavière"). Jak zniweczenie pozycji francuskiej na półwyspie apenińskim przypisywał Bainville zagranicznej polityce Napoleona III, opartej na idei Europy narodowościowej, tak obalenie hegemonii politycznej Francji na kontynencie europejskim upatrywał w polityce Napoleona I, która sprowadzała obudzenie się poczucia jedności narodowej Niemiec i powstanie państwa jednolitego. Tak pisał w 1907 r. w swem studjum „Bismarck et la France". Okazując się najczulszym na punkcie niemieckim, może nawet imperjalistą, widział z niepokojem wzmocnienie się jedności niemieckiej, jako skutek traktatu wersalskiego. To też zarzucał jego twórcom nieumiejętność wykorzystania dynastycznego rozbicia Niemiec, o czem szeroko czyta się w Bainville'owych „Conséquences politiques de la paise" (1920). Błąd wojskowy traktatu upatrywał w przyznaniu 100-tysięcznego kontyngentu całej Rzeszy, miast poszczególnym krajom. Dbał więc Bainville w swych pracach o bezpieczeństwo Francji i zapewnienie jej przemożnego wpływu na kontynencie.

Za Pascalem uznawał prymat myśli. „Ludzie — pisał — myślą nasamprzód... Błędy rządów i narodów są błędami ich myślenia[1])." Stąd dużo poświęcał analizie przeszłości własnej ojczyzny. Stąd „Histoire de France", „Histoire de la troisième République", Histoire des trois générations". Zamknął swą działalność praca o dyktaturach na tle kultury europejskiej (1935).

W polityce francuskiej nie był czynnym, jeśli pominąć 4-miesięczną misję dyplomatyczną w Rosji w 1916 r. W oddaniu dużych usług przeszkodziła mu niewątpliwie przynależność do obozu monarchistycznego.

Niezwykła lotność umysłu sprowadziła go też na pole krytyki literackiej, gdzie poruszał się z całą swobodą. Liczne studja obejmują szereg tomów. Z ulubieniem zajmował się obserwacją obyczajów, nad któremi swe refleksje filozoficzne zamknął w „Maximes et réflexions" (1931).

Bainville pracował jako publicysta w kilku dziennikach i czasopismach, szczególnie w „Action Française". W ruchu, skupionym dokoła tego pisma, był jednym z czołowych przywódców ideowych. Ta przynależnością tłumaczą się związane z jego pogrzebem zarządzenia kościelne.

Odszedł pisarz sugestywny, o galijskiej jasności. Był umysłem wszechstronnym, czego dowiódł jako historyk i moralista, jako krytyk literacki, ekonomista i dziennikarz. Był przy tem wszystkiem szczerym przyjacielem Polski.

[1]) Nie mogę sobie odmówić przyjemności, wskazania przy okazji na tożsamą tezę znakomitego polskiego pisarza ks. A. Jakubisiaka w jego rozprawie p. t. „Filozoficzne podstawy komunizmu" — w zbiorze p. t. „Od zakresu do treści".

Karol Hubert Rostworowski, Kraków

Przeprowadzka

Sztuka w 4 aktach

6

STARSZY PAN
Napewno?

CIEPIEL
Napewno. — Jest ich całej parady sztuk sześć.

STARSZY PAN
W tej, jak się pan wyraził, norze?

CIEPIEL
Ajakże, panie dobrodzijku. — Sodoma i Gomora! — Na kupie to śpi, na kupie to zbereze ństwa wyprawia... (wachluje się).

STARSZY PAN
Co pan powiada.

CIEPIEL
Szkandal. (Pochylając się w stronę starszego pana, poufnie). Mają tam dwie dziewczyny. Jedna podaje się za „mężatkę". Wiadomo. Spacerek po plantach — łóżko — i po ślubie! — Panie dobrodzijku! (bijąc się w piersi). Jak Boga mego najszczerzej kocham, wchodzę — światło jeszcze nie zgaszone — ci rżną w karty — ten, jak zawsze, nad książkami — a ta bezwstydnica, z tym niby mężem, pod kołdrą! — Że to niby nóg nie czują! (Pukając się palcem w czoło). Po ośmiu godzinach roboty „nóg nie czują!".

STARSZY PAN
Co pan powiada.

CIEPIEL
I gdyby to był wyjątek. Ale nie! To reguła, panie dobrodzijku! Zanim która od ziemi odrośnie, już, za przeproszeniem, skończona... Nie chcę obrażać pańskich uszów. (Wachluje się).

STARSZY PAN
A ona... też taka... skończona?

CIEPIEL
Jaka „ona".

STARSZY PAN
Ta... druga.

CIEPIEL
Eeee... ta druga, panie dobrodzijku, ma starszego brata, który ją trzyma (potrząsając pięścią) o tak! I dobrze robi, bo mówiąc między nami (przykładając palce do ust) paluszki lizać, panie dobrodzijku. Paluszki lizać.

STARSZY PAN (podniecony).
Zaraz. Powiedział pan „starszego brata". Jak temu bratu na imię?

CIEPIEL
Franciszek, panie dobrodzijku.

STARSZY PAN
Ślusarz?

CIEPIEL
Ślusarz to tamten Franciszek, panie dobrodzijku. Ten zaś pracuje przy murarzach.

STARSZY PAN
W takim razie macie trzech Franciszków. Ślusarza, akademika...

CIEPIEL
Ależ nie, panie dobrodzijku. Akademik i ten od murarzy, to jedno i to samo.

STARSZY PAN
Co pan powiada!

CIEPIEL
A no właśnie, panie dobrodzijku. Zachciało się, że tak powiem winogron, a nie stać nawet na rzepę.

STARSZY PAN (b. podniecony).
A jaki to rodzaj człowieka.

CIEPIEL
Iiii... do niczego. Moja żona coś sobie w nim upatrzyła, ale do niczego. Do niczego.

STARSZY PAN
Mógłbym się z nim... rozmówić?

CIEPIEL
Czemu nie, panie dobrodzijku. Przed chwilą wrócił z murarki, a teraz lekcję odrabia. (Wskazał na prawe drzwi).

STARSZY PAN
A mógłby go pan tu... sprowadzić?

CIEPIEL
Ależ owszem, panie dobrodzijku. Owszem. (Z trudem zwracając się ku prawym drzwiom). Panie Franiu! Panie Franiu!

FRANEK (stając w drzwiach).
Słucham.

CIEPIEL (wskazując starszego pana).
Wołają tu pana.

FRANEK (zmieszany, starając się zakryć wyłogiem marynarki gołe piersi).
Przepraszam... nie jestem ubrany...

CIEPIL (wachlując się).
O pańskie garnitury nie chodzi.

STARSZY PAN, (który nie spuszczał oka z Franka, wskazując laską krzesło).
Niech pan siada.

FRANEK (wciąż zgarniając marynarkę na piersiach, stając przed starszym panem i kłaniając się ukłonem ludzi wstydzących się siebie).
Franciszek Szywała.

Hilary Majkowski, Poznań

Popas króla Jegomości

(Z wędrówek po Wielkopolsce)

Założenie Łabiszyna nad Notecią osłonięte jest tajemnicą mroków przeszłości. Najstarszą wzmiankę o Łabiszynie jako grodzie rycerskim mamy z roku 1247, jako miasta z r. 1369. Tę ostatnią datę potwierdza dokument z 12 marca 1369 r., wystawiony w Gnieźnie przez sędziego kaliskiego Tomisława dla



Wejście główne do kościoła parafjalnego z widocznemi kulami armatniemi po szwedzkiem oblężeniu.
Fot. A. Glyda.

wojewody brzeskiego Wojciecha, w sprawie mostów, grobel, młynów i komunikacji rzecznej na Noteci między wsią Pturem i miastem Łabiszynem — „inter Ptur Viliam et Labissino opidum", jak opiewa wspomniany pergamin.

Według dokumentu z r. 1558 pierwszy dziedzic Łabiszyna pobudował w 1376 r. zamek i stale w nim zamieszkiwał. Był to wojewoda brzesko-kujawski, herbu Prawdzic. Późniejsi właściciele Łabiszyna, to historyczne i sławne postacie: Latalskich, Czarnkowskich, Opalińskich, Gębickich i Skórzewskich. Z Łabiszyna również wywodzą się znani uczeni: Maciej z Łabiszyna, rektor Akademji Krakowskiej, Andrzej, kanonik katedry krakowskiej, mistrz dekretów, doktor św. teologji i prawa kanonicznego, wreszcie Mikołaj z Labiszyna, profesor Akademji Krakowskiej, nauczyciel Kopernika.

W roku 1594 Stanisław Latalski, dziedzic Łabiszyna, kalwin, wystawił na przedmieściu łabiszyńskiem na prześlicznem wzgórzu kościół drewniany, zamieniony w roku 1627 na kościół katolicki, oddany OO. Reformatom. Kościół ten spłonął 1761 r., odbudowany nanowo stoi dotąd niewzruszony, panując nad miastem piękną sylwetą. Poświęcony św. Mikołajowi, jest od 1833 r. świątynią parafjalną. Z zabytków mamy tu późnogotycką monstrancję (wysokość 80 cm) w postaci wieżyczkowej, z tej epoki kielich bogato cyzelowany u podnóża i dwa skromniejsze z roku 1731 i 1774. Miasto nawiedzały częste pożary, z których najstraszniejszy w r. 1825 zamienił piękny gród w perzynę.

Na wzmiankę zasługuje jednodniowy pobyt króla Jagiełły po świetnem zwycięstwie pod Grunwaldem (1410), oraz przejazd króla Karola Gustawa podczas najazdu Szwedów na Polskę. Dnia 11 stycznia 1919 r. oswobodzono Łabiszyn z pod jarzma pruskiego.

W archiwum miasta Torunia znajduje się pieczęć Łabiszyna wraz z dyplomem nadania herbu z roku 1407. Pieczęć ta jest silnie uszkodzona, wyobraża ona dłoń między rozetami i napisem majuskułą gotycką: „Civitatis Labissinensis"" (27 m/m) Druga pieczęć pochodzi z XVIII w.; jest ona kształtu owalnego, a wyobraża rękę na tarczy, bez rozet, z napisem: „Sigillum Eterna Civitatis Labissinensis" (43—36 m/m) — wyciśnięta na dokumentach z roku 1736 i 1744 (Archiwum Poznańskie). Również z wieku XVIII pochodzą dwie inne pieczęcie miejskie. Pierwsza z ręką i napisem: „Sigillum Civitatis Labissinensis" (27 m/m) na dokumencie z r. 1795 (Archiwum Poznańskie), druga z r. 1794, z wieńcem dookoła dłoni oraz napisem w otoku: „Civitatis Labissinensis" (25 m/m), znana jest z dokumentów z r. 1795—1806 w różnych zbiorach. Podobną pieczęć z dłonią, otoczoną wieńcem i wyżej wymienionym napisem, sporządzono i w XIX w., dając jej tylko nieco większe rozmiary (33 m/m).

Wynika z tego, że miasto utrzymało swój herb bez zmiany od XIV w. Nie zdolano natomiast dotychczas stwierdzić, co herb miasta ma oznaczać; uwidaczniające się bowiem na podobiznach pieczęci rozdwojenie na wysokości przegubu ręki przedstawia raczej podobiznę rękawicy a nie dłoni.

Dzisiejszy Łabiszyn położony jest bardzo malowniczo nad rzeką Notecią śród łąk i lasów. Miasto dzieli się na starą część, otoczoną zewsząd wodą i przypominającą dawną fortecę, oraz nową część, oddzieloną rzeką. Dążność wszystkich sfer miejscowych do stworzenia z miasta ośrodka letniskowego, ze względu na jego piękne położenie, przyczyni się w niemałym stopniu do podniesienia dotychczasowego ogólnego stanu handlowo - gospodarczego miasta.

Na podkreślenie jeszcze zasługują wielkie młyny wodne, należące do ordynata hr. Skórzewskiego w Lubostroniu, który jest zarazem właścicielem okolicznych obszarów ziemskich i leśnych. Młyny te są słynne w całem państwie, a nawet poza jego granicami, z dawnych i obecnych, chociaż już nielicznych eksportów na północ i zachód.

Konstanty Dobrzyński, Łódź

POCIĄG

I.

Lśniące szyny, jak węże rozpełzły się z sykiem,
koła warczą i plują szybkością zawrotną,
przestrzeń blada i drżąca cichaczem pomyka
i zastyga w objęciach chmur ciężkich, wilgotnych.

Szynom jakże rozkosznie świat w pręgi pochlastać,
kołom spić się, jak wódką musującym pędem
i pochłaniać żarłocznie lasy, wsie i miasta
i zamieniać je w drżącą, błękitną legendę.

Tłoki charczą zdyszane, ochrypłe od jęku,
oszalałe, mnożone wzrokiem maszynistów,
wydzierane ich piersiom i ściśniętym szczękom,
zasapane przestrzenią, wichrami i świstem.

Maszynistom, palaczom oczy ogniem gorą,
pod kotłami wrącemi żar kwitnie purpurą.
Gwiazdy wokół, jak łapy wielkich semaforów
na niebieskich przestrzeniach unoszą się w górę.

Pociąg rwie błyskawicą, nurza się w tunelach,
na mostach zawieszonych szaleńczo nad głębią
z hukiem rytmy wygrywa ze szyn wiolonczeli,
dymem, łuną, iskrami krztusząc się i kłębiąc.

Szyby mknących wagonów szlifuje mdły księżyc.
Pod szynami dni stygną, jak czarne podkłady.
Słupy — lata mijane rdzawe druty prężą.
Stacje — wieki w tył mknące ciężką galopadą.

Pociąg rwie... Na zakrętach zatacza się zgrzytem,
huczy, grzmi, pruje piersią wielkie płachty wiatrów,
wżera się w nieskończoność, za włosy ją chwyta
i wywleka z za kulis niemego teatru.

Stary dróżnik — czas siwy chorągiewką słońca
próżno macha codziennie od wschodu na zachód.
Na zwrotnicach skomlących siadło widmo strachu...
Nikt nie wstrzyma warkotu kół po szynach rwących.

II.

Po wagonach — gondolach zawieszonych w próżni
sen się czai po kątach i pełznie ku wargom
przygwożdżonym do ławek, zastygłym w letargu,
jak szkielety bezwładne — jadącym podróżnym.

Już pod łuki słońc jasnych pociąg wpadł z łoskotem
i już gwiazdy, jak bluszcze owiły mu koła.
Nie zakwitły jasnością okna-oczodoły,
oblepione przepastna. jak wieczność martwotą.

Śpią podróżni na ławach, w wagonach sypialnych,
rozrzuceni w nieładzie, jak kto padł i przylgnął.
Głusza w trupim pociągu poza teatralną
poprzez szyby wygląda od oddechów wilgne.

Nikt się ze snu nie zrywa, nie pyta gdzie pędzi,
nikt nie patrzy na księżyc, co krwią szyby plami,
żadnej myśli sprężonej wystrzelony kamień
nie wywali szyb okiem jęczących w obłędzie.

Tylko oczy palaczów płoną, jak zarzewie,
tylko wściekły parowóz jarzące kły szczerzy,
tylko kotły bulgoczą w opętanym gniewie,
tylko dymy rżną niebo, jak gotyckie wieże.

Maszyniści oblani ukropem pożogi
prężą mięśnie rozdrgane pod słoną wilgocią,
krzykiem ramion wzmacniają kotłujący ogień
w skisłe dale worując rozhukany pociąg.

Pociąg rwie, wyje wicher, przestrzeń się przelewa
nad dachami rozgrzanych od pędu wagonów.
Wokół wszechświat, jak wielkie granatowe drzewo
rodzi planet owoce — syczące neony.

Znowu zakręt, co zgrzytem, chrzęstem się zaznaczył.
I łeb słońca, co zimny horyzont zalepił
zbladł i zadrżał... gdyż serca nie było w palaczach...
Maszyniści wrośnięci w dźwignie byli ślepi...

III.

Obłęd żużli się w rusztach, chwyta twardą garścią
maszynistów pod gardło zgrzyta pędu wyciem.
Przed pociągiem krateru głąb czai się skrycie...
Maszyniści, palacze nie widzą przepaści.

Dorzucają pod kotły, pęd mnoży się, wzmaga,
koła jeszcze zawrotniej cwałują po szynach,
pociąg jeszcze zażarciej wichry pruje, smaga,
wali z chrzęstem, łoskotem huczącą lawiną.

Już jak lej wiru w przepaść wsysa go powietrze,
otchłań macki wyciąga zakrwawione łuną...
Już koła na ostatnim huczą kilometrze...
Już za chwilę nad głębią zawisną i... runą!

W tem na jednym z wagonów ktoś się zerwał ze snu,
ktoś wypełnił przedziały przeraźliwym krzykiem,
z wszystkich oczu przerżniętych tym krzykiem boleśnie
trysła bladym koszmarem szarpiąca panika.

Trwoga mroźna, obłędnie tnie serca, jak noże,
pot śmiertelny na czoła zimne ręce kładzie...

Jak szaleni biegają bladzi konduktorzy
wśród skomlących podróżnych stłoczonych w nieładzie.

Za hamulce! Zatrzymać! Obłąkane dłonie
wyciągają się w górę oszizgłe od strachu...
Nie działają!!... i cisza chwile kłami dzwoni...
I ryk dziki zwierzęcy rozsadza luk dachów.

Wywalają się okna... drzwi pękają z trzaskiem,
tłum ryczący paniką kłębi się, kotłuje...
Buty miażdżą gardziele zachrypłe od wrzasku..
Do okien! Drzwi! Zęby... łokcie... pięści... Wyskakują!
— — — — — — — — — —
A gdy pociąg głąb minął i pędzi bocznicą,
aby rwać dalej w przyszłość, lecz już nowym torem,
zobaczyli Ją wszyscy przy dźwigni zwrotnicy,
Ją tęczową ideę na tle semaforów.

I gdy potem ze drżeniem, cicho przy kolacji
wspominano cień śmierci, co grozą urągał,
Ona raport pisała o mknącym pociągu
do Boga — naczelnego zawiadowcy stacji.

T. Chmyzowski, Kraków

Noc

Z dala biją, biją zegary
W stalach skryte zimnych i szarych
Rozchrobotane tryby maszyny
Charczą i plują rdzą.
Dźwięki, padając w mroczne głębiny,
Drżą w splotach wiatru mgielnych i sinych.
Zdala biją, biją zegary
W halach dworcowych, w wieżach starych
Hen na przedmieściach, krańcach miasta
Zdala biją, biją dwunastą.
Górą płynie niby westchnienie,
Płynie po dachach, płynie po drutach,
W mgle, co nad miastem wisząc rozsnuta,
Całuje zimne bruków kamienie.
Cień się przesuwa, gasi latarnie,
Miastu mak senny na oczy sypie
I w swoje długie ręce polipie
Światła uliczne garnie.
Noc.

Kwiat wiśni

Ongiś, gdy nie istniała ciżba miast ogromna
A w pałacach nielicznych możnowładczych rodów
W półmroku komnata, żółte złoto wschodu
Błyszczało pośród purpury i lamy
U stóp nieskalanego po dziś Fudżamy
Był sad.

Maleńki Wiśni Kwiat
Wśród drzew pachnących bieli
Uśmiechem się weselił
Prześliczny Wiśni Kwiat
A drzewa nań sypały
Deszcz płatków śnieżnobiały
I mały
„Wiśni Kwiat"
Jak cudnobarwny motyl
Przebijał się przez sad
Z słonecznej rad
Pieszczoty
„Maleńki Wiśni Kwiat"

I ujrzał
— Sen ten złoty
Samuraj, co z wojny
Powracał.
Hej! wojna jedyna to praca!
Samuraj waleczny i młody
W szaleńcze popędził zawody
Daleko, za góry i wody —

Dziś z wojny
Samuraj powracał
Niepewnie, powoli, senliwie
W rodzinne powracał swe strony,
Zmęczony
Powracał po żniwie,
Bo ciężkie i krwawe wiódł boje
Samuraj, co z wojny powracał,
A wojna niewdzięczna to praca.
I myślał: „Swą głowę ukoję,
Zmęczoną w tym trudzie tak znojnym,
Gdzie sad rozpościera się cudny,
Com w złudnych
Swych myślach go wyśnił"
I poszedł i poznał Kwiat Wiśni.

Stanisław Sojecki, Poznań

Aforyzmy

Gdy w życiu wcielać nie masz ich zamiaru,
Choć najszczytniejsze, na nic są zasady.
Nie świecić, błyszczeć — niby gwiazd mirjady —
Lecz grzać winieneś idei swej żarem.
Hasło bez czynu — jest jak kłos bez ziarna,
Jak bez owocu pełne krzewów sady.
Choć najszczytniejsze — na nic są zasady,
Gdy w życiu wcielać nie masz ich zamiaru.

Gdy — jak pies — człowiek ugryzie człowieka,
Poco mu zaraz na pysk kłaść obrożę?
Los go nadeptał i głodny był może,
Lub łzę rozpaczy tłumić pod powieką.
Gdy patrzeć musisz mądrze i daleko —
Wiesz, że miłością najwięcej pomożesz.
Więc poco zaraz na pysk kłaść obrożę,
Gdy, jak pies, człowiek ugryzie człowieka?

STARSZY PAN (j. w.).
Niech pan siada.

FRANEK (siadając na rożku krzesła — naprzeciw starszego pana).
Słucham.
(Trio wzrokowe. Starszy pan stara się tym wspomnieniowym. wyblakłym wzrokiem, przejrzeć Franka — Franek, wciąż dłubiąc koło wyłogów marynarki, rzuca prawie wystraszonym wzrokiem w stronę starszego pana — Ciepiel zaś z obojętnością, właściwą tłuściochom, patrzy to na starszego pana, to na Franka i wachluje się gazetą).

STARSZY PAN (widocznie krępowany obecnością Ciepiela). No więc... (chrząka).

CIEPIEL (widząc, że rozmowa nie rusza z miejsca).
Może przeszkadzam. I tak mam posiedzenie Związku...

STARSZY PAN
Gdyby pan był tak dobry pozostawić nas samych...

CIEPIEL (z trudem powstając).
Ależ najchętniej, panie dobrodziijku. (Zdejmując z wieszadła czarny „melonik"). Proszę być jak w domeczku. (Kłaniając się melonikiem). Całuję serduszko. Adje.

STARSZY PAN
Bardzo pan uprzejmy.

CIEPIEL (toczące się ku lewym drzwiom).
Mucha, panie dobrodzijku. Mucha. (Wychodzi — zatrzask prztyka głośno). (Pauza).

STARSZY PAN (powoli wyjmuje z kieszeni złotą papierośnicę, otwiera ją, wreszcie częstując Franka papierosem).
Pali pan?

FRANEK (z nieśmiałym póluklonem).
Dziękuję. Nie palę.

STARSZY PAN (zamyka papierośnicę i kładzie ją na stole. Po chwili).
Panie... przepraszam, bo nie dosłyszałem.

FRANEK (j. w.).
Franciszek Szywała.

STARSZY PAN
Panie Szywała. O ile mi wiadomo, pan studjuje...

FRANEK (prawie gorączkowo).
Nic nie studjuję, proszę szanownego pana. Noszę cegły.

STARSZY PAN
Wiem, że pan nosi cegły, ale przed chwilą mówił mi pan Ciepiel...

FRANEK (b. nerwowo).
Pan Ciepiel wszystko miesza. Ukończyłem... parę klas gimnazjalnych... pokazało się, że nie mam zdolności... więc noszę cegły i będę nosił cegły przez całe życie. Zarobek... stosunkowo ciężki, ale... dobry.

STARSZY PAN
Mhm. — (Po chwili bacznego wpatrywania się we Franka). Bo ja byłem przekonany, że pan... (po chwili). A czy pan nie miałby zamiaru powrócić...

FRANEK (szybko).
Nie, proszę pana.

STARSZY PAN
Dlaczego?

FRANEK
Dlaczego, że jestem przeciwnikiem wszelkich powrotów, i że jestem zadowolony z mojego obecnego losu.

STARSZY PAN
Dziwny los. Z pańską umysłowością...

FRANEK
Pozorna.

STARSZY PAN
Wybaczy pan, jednakowoż... trudno mi uwierzyć... Chociażby ta nerwowość, z jaką pan odtrąca każdą wzmiankę...

FRANEK
Poprostu zmęczenie. Pod wieczór jesteśmy zawsze wyczerpani.

STARSZY PAN
Mhm. — (Po chwili). Pan mieszka tutaj?

FRANEK
Tak jest.

STARSZY PAN
W takim wspólnym pokoju na sześć osób?

FRANEK
Tak jest.

STARSZY PAN
I to panu... również nie cięży?

FRANEK
Kwestja przyzwyczajenia.

STARSZY PAN
Pomimo głośnych rozmów może pan... nad książkami...

FRANEK
Czytuję sobie.

STARSZY PAN
Belletrystykę? —

FRANEK
Przeważnie belletrystykę. —

STARSZY PAN
Mhm. — (Po chwili). No a... Mam siwe włosy... mógłbym być pańskim ojcem... No a ten... lekki strój. — Upał?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ze sceny lwowskiej

„Peer Gynt"

Niepospolitą wizją obdarzył amatorów żywego słowa lwowski Teatr Wielki. Artyści czołowych ról, dekorator i reżyser sprzysięgli się widocznie, by wyczarować przepiękną baśń norweskiego mocarza dramatu w jej jaknajsilniejszym i najczystszym wyrazie.

By dać choć w przybliżeniu, pojęcie o kategorji i wadze osiągniętej całosci artystycznego widowiska trzebaby właściwie opracować spore studjum doraźne. Musimy jednak poprzestać na paru luźnych uwagach.

Doskonały w całości, jędrny, olśniewający i porywający pędem rytmu wiersz przekładu Jana Kasprowicza spada kaskadami deklamacji na oczarowanego widza, podbija czarem zawiewającym już ekspresją polskiego odpowiednika „Peer Gynta" — „Marchołta". Taki wstępny opis jazdy na capie po wierchach, improwizacja Pera przy łożu umierającej matki, lub rozprawa z Odlewaczem Guzików i wiele innych miejsc biją urokiem życia z krwi i kości i jakąś dziwną swojszczyzną wenętrznego tętna obrazowania, czy fantazji.

Bajeczne, nasycone legendarnością skandynawskiego ludu, dzieje niespokojnego ducha zapadłej wsi norweskiej na tle przepysznej panoramy górskiej, pławiącej się w subtelnej grze mgieł i świateł aury turni i przepaści, oddano z rzadkim efektem piękna. Gruntowne opracowanie i przygotowanie scenerji zrobiło tu swoje.

Nastrojowe intermezza przedaktowe, wykonane w konkretnym wypadku na bardzo wysokim poziomie muzykalnym, dały potężny bodziec psychiczny do skupionego odczucia czaru poetycznego dramatu obowiązku, serca i ostatecznej sprawiedliwości.

Na takim podkładzie wizualno - akustycznym zabłysła gra nieuleczalnego fantasty, Peer Gynta — Białoszczyńskiego prawdziwym klejnotem scenicznym w całej swej okazałości. Peer w jego interpretacji olśniewał niepoczytalnemi nieraz wybuchami wyobraźni, wybujałych marzeń i pretensyj do życia. Poił grozą podczas karkołomnej jazdy po skalnych żlebach, wzruszał arcypotężną, przepiękną pieśnią synowskiej miłości bijącą do niebieskich bram o zmiłowanie dla konającej matki — najpiękniej bezsprzecznie wykonana część roli tytułowej, w której p. Białoszczyński okazał widowni (w ciszy, jak makiem siał, dobra miara chwytu) szczerą iskrę artystycznego genjuszu — budził współczucie niedolą człowieka zapędzonego w ślepą uliczkę nierozwiązalnego dylematu, drżącego przed bezwzględnem okrucieństwem sędziego - symbolu, Odlewacza Guzików.

Z pozostałych artystów wyróżnili się szczególnie panowie Pietraszkiewicz, jako Odlewacz Guzików, szlachetny w swej prostocie gry i doskonałej dykcji oraz Krzemieński — doktór Begriffenfeld - Pięciowicz, dr. przełożony domu warjatów. Obie maski doskonałe, z umiarem, plastyczne.

W rozedrgane grozą morskiej burzy, czy to znów ciszą pustynnej perspektywy afrykańskiej nasyconej atmosferze, czy na tle poszarpanych turni norweskich masywów skalnych wykwitały jak wdzięczne kwiatki górskie panie Malanowicz — Solwejga, Kassocka, matka Piotra Gunta (przepiękna staruszka — po latach, b. dobrze odegrana rola) — i bezimienna dziewuszka, siostrzyczka Solwejgi, Helga. Tłum wiejski dobrze wystudjowany.

„Trafika Pani Generałowej"

Wystawiona w lwowskim Teatrze Rozmaitości komedja „Trafika pani generałowej" cieszy się powodzeniem łatwych do strawienia sztuk. Umysł człowieka współczesnego, szczutego koszmarem zupełnie schamiałej oficjalnej współczesnosci, lubuje się w błazeńskiem chowaniu się w piasku beztroski, w płyciźnie niewybrednych anegdotek.

Starsza córka Pani Generałowej chce „nowego życia", bo mąż ją „nudzi". Młodsza córka, maturantka z celującą notą z gimnastyki, stara się odbić jej amatora cudzych żon w osobie hrabiego (p. Stępowski). Tymczasem okazuje się, że to młodszy syn hrabiego o identycznem imieniu. Cały trud stracony, ale wzamian maturantka (p. Martini) zdobywa serce hrabiego junjora. W międzyczasie opuszczony mąż (kapitalny p. Leliwa) odzyskuje straconą żonę (p. Niczewska) i „mama - generałowa" błogosławi uszczęśliwioną nową młoda parę: córkę z młodszym hrabią.

Poza paru szczeremi akcentami komizmu (niezła absolwentka p. Martini, wspaniała para płaczków — P. Generałowa w osobie p. Bogdańskiej i Leliwa, — moment o „cichem, spokojnem, cieplutkiem i miękkiem łóżeczku") nie posiada to widowisko właściwie specjalnego tytułu do miana dobrej komedji, natomiast wiele pieprzu i papryki w guście podrzędnych filmów o „uwodzicielskiej miłości salonowej" wskazywałoby raczej, iż konstrukcja zakresu pojęć i stylu przechyla jego szalę w stronę umiarkowanej farsy o nalocie frywolnym (wyciągnięta do ostatnich granic możliwości scena erotycznego „nieporozumienia" podczas nocnej wizyty maturantki u hrabicza (p. Śliwiński).

Dekoracje bardzo gustowne, jakkolwiek w drugim akcie swym najnowocześniejszym madernizmem kłócące się z c. k. epoką schyłku wojny światowej. Natomiast gra wszystkich niemal aktorów — pierwszorzędna! Jedynie młody hrabia był nieco zanadto zblazowany. Reżyser mógł również śmiało opuścić wywód nazwiska hotelowego piccolo.

Ostatecznie nieprzeciętnie pocieszna sztuka dla przeciętnej widowni o niezbyt wygórowanych wymaganiach.

P. S. Jeżeli Peer Gynt w ostatniej interpretacji Teatru Wielkiego powinien osiągnąć jakąś półsetkę przedstawień, to „Trafika" zdobędzie z pewnością połowę tej serji.

O operetce „Bal w Savoy'u" nie da się nic powiedzieć pozatem, iż, niestety, jest godna swej poprzedniczki „Przygody".

ALEKSANDER KOŚMIŃSKI.

Stanisław Czekay, Kraków

T. Lenartowicz o „Stańczykach"

Celem uplastycznienia obrazu opinji współczesnych o stronnictwie „Stańczyków", przytaczam obecnie z dalszych niepublikowanych dotąd materjałów list Teofila Lenartowicza do Mieczysława Pawlikowskiego. Spora garść listów doskonale odzwierciadla przyjacielskie związki, jakie łączyły obu pisarzy, umożliwiając szczerą wymianę myśli i wolne od wszelkich niedomówień sprecyzowanie sądu na temat najistotniejszych zagadnień i kwestyj.

Poniżej cytowany list autora „Wandy" do M. Pawlikowskiego należy do ciekawych i ze względu na sąd o Stańczykach i rozważania o Aleksandrze Fredrze.

Florenja 1 marca 1877
via Montebello No. 26.

„Mój najzacniejszy Mieczysławie!

Już to chiba ta dobra Pani Karolina Dzieduszycka wypukała słówko o które tyle razy odzywałem się do Ciebie, ona albo jaki Anioł boży; kto bądź wdzięczny mu jestem tym więcej, że mi przykro było bardzo przez blizko rok nic od Ciebie nie odebrać. Ja! Bóg wie co się z nim stało, może i on jak drudzy odwrócił się od przyjaciela, może ma racyą, trudno, czekajmy alboż się to kiedyś wyjaśni. Dziękuję Ci drogi mój za Twoją dobroć i nawzajem życzę nietylko w dniu imienin, ale w każdym całego roku zdrowia i spokoju duszy, szczęścia, „którego nie przywabi choć kto ściany drogo ujedwabi". Niema nad to dwoje, dom Twój, rodzina, przyjaciele, wszystko, co składa Twoje szczęście niechaj doświadcza wpływu tych samych promieni dobroczynnych, niech Wam Pan Bóg oszczędzi łez po stracie któregokolwiek z kółek, które ten łańcuch składały.

Dla mnie ten rok upłyniony był najboleśniejszym ze wszystkich — ile strat, ile smutku, ile zawodów.

Miałeś racyę we wszystkim coś mi mówił o Krakowie, mówię to nie ze względów osobistych, bo cóż tam znaczy jakaś jednostka, ale publicznych. Co się tam dzieje jaka systematyczna niemiecka wytrwałość w wytepianiu narodowego uczucia, godności, sumienia — o! źle — piszesz mi, że „Czas" był nudnym prawda, ale miał jeszcze nieco wstydu, kiedy dziś już się tak mówi bez żadnej ogródki finis Poloniae jakby to było czemś takim jak wyścigi konne, albo kontrakty kijowskie, a może nawet z większem uczuciem odzywali by się o tych zajęciach jak o schodzącej w grób ojczyźnie.

Piszą jak wrogi, działają jak samoluby najlichszego rodzaju i... i prócz jednego pisemka literackiego redagowanego bez wyższych zdolności, nikt niema odwagi powiedzieć im ich imienia, to smutno, to bardzo boleśnie.

Dla mnie jest to rzeczą niepojętą i do dziś dnia niewytłumaczoną, nierozumię jak można wyrzec się imienia Polski, a przecież to się dzieje i przechodzi gładko okupione balem na studentów, albo datkiem jakimś eleganckiego professora — tak źle nigdy nie było.

Nie wątpię jak i Ty, że złe przejść musi, a jednak smutno mi, a wiesz czemu: oto z tym złym zniknie także i wszystko cokolwiek przypominać by mogło tych ludzi, historyczne tradycye, do których pomimo całej miłości dla nowych idei czuję się związanym siłą duszy, do tego obyczaju narodowego, do wiary, do wspomnień pięknych historyi — Ci ludzie wydzierają nam z serca to cośmy mieli rodzinnego w sobie i gwałtem pędzą na radykalne góry, ha trudno pereat mundus fiat justitia. —

O sztukach Fredry wiem ze sprawozdań teatralnych i cieszę się z tego spadku jaki zostawił narodowi, był to prawdziwie równy Molierowi autor, ale jak Molier tak Fredro swoją z olimpijską(!) swobodą nie mają nic wspólnego z dzisiejszem stanem ducha i dlatego dodatnio działać niemogą jakbądź nie działają ujemnie — weź którego kolwiek z dzisiejszych pisarzy Francuskich Sardou, Dumas, Ogier, którego chcesz, a znajdziesz w nich więcej jak w Molierze — doskonały, klasyczny, prawda bawi, zadziwia, ale o dzisiejszych zagadnieniach nic nie rozwiązuje i dlatego musi pozostać na drugim planie — zostaw to przy sobie, komu innemu nie powiedziałbym tego.

Jeżeli masz nomer „Echa", który tam coś wspomina o mnie przyślij; Zmorskiego Rom., Bohdana Dziekońskiego i innych znałem, ale do ich ekstrawagancyi nie łączyłem się: byłem biedny bardzo i ciężko na kawałek chleba pracowałem w owym czasie.

A teraz bywaj mi zdrów mój drogi i przekonany, że Ci wierny jestem do końca — Pani rączki ucałuj Synów uściskaj, a niedaj mi czekać drugich imienin bez żadnej od Ciebie wiadomości —

Twój przyjaciel Teofil*".

*) List ten znajduje się w archiwum Rodziny Pawlikowskich w Medyce.

Mieczysław Pszon

Kronika krakowska

Obserwatora krakowskiego życia politycznego i kulturalnego uderzyć musi równoległośc rozwoju tych przejawów działalności ludzkiej. Może określenie „równoległość" jest nieścisłe — raczej należałoby mówić o decydującym wpływie czynnika politycznego na życie literackie.

Kraków, jak i cała Polska, jest świadkiem zmagania się dwóch idei: nacjonalistycznej i marksistowskiej. O ile jednak prowincje zachodnie i środkowe przechyliły zdecydowanie szalę zwycięstwa na korzyść idei narodowej, o tyle w Krakowie walka definitywnie rozstrzygnięta nie jest. Gród podwawelski był doniedawna najwierniejszą i najsilniejszą twierdzą socjalizmu. Dziś sytuacja ulega zmianie. Pierścień narodowych przedmieść i wsi podkrakowskich zwęża się z każdym dniem; dochodzi już po śródmieścia, gdzie ruch narodowy reprezentują i organizują coraz aktywniejsze i coraz liczniejsze szeregi akademickiej młodzieży nacjonalistycznej. Socjaliści nie mogą jednak pogodzić się łatwo z utratą najpewniejszej dotąd placówki. Organizują kontr-ofensywę. Miasto, prawie codzień, tonie w powodzi czerwonych afiszów, zawiadamiających o „antyfaszystowskich" zebraniach, akademjach ku czci działaczy radykalnych, odczytach o kulturze proletarjackiej. Praca narodowa jest na oko znacznie mniej efektowna, trudno bowiem nawet marzyć o uzyskaniu pozwolenia na publiczne zebranie, ale rezultaty jej są napewno lepsze.

Ta sama walka toczy się i na froncie kulturalnym. Terenem jej jest przedewszystkiem uniwersytet, ogniskujący prawie całe krakowskie życie kulturalne. Po jednej stronie stoją organizacje, jesli nie zdecydowanie narodowe, to w każdym razie o kierunku tradycjonalistycznym. Z drugiej strony ożywioną działalność prowadzą kryptożydowskie koła socjalistyczne.

Wśród pierwszych wysuwa się na czoło Koło Polonistów. Dało ono asumpt do szeregu dyskusyj o młodem pokoleniu, urządzając, omawiany już w „Głosie" wieczór o ideologji młodzieży polskiej. Imprezą niejako programową tej organizacji był przegląd twórczości literatów krakowskich: Rostworowskiego, Gałuszki, Kudlińskiego, Suskiego i innych. Zagajając ów wieczór, J. Bielatowicz podkreślił jego polski charakter i zaznaczył, że działalność Koła idzie po linji ujawniania narodowych pierwiastków kultury polskiej. Wieczór ten był dla bojkotowanego przez żydów Koła znacznym sukcesem. Pokazał, że można bez schlebiania modzie i poziomym gustom zdobyć własną, polską publiczność.

Znaczne poruszenie wywołały dwie dyskusje o „Zmorach". Książka Zegadłowicza była właściwie tylko pretekstem do poruszenia zagadnień ogólniejszych, bardziej związanych z polityką, niż literaturą. „Linja podziału" i tu była ta sama. Dalszym dowodem, że istnieje tylko jedna miara, że są tylko dwa obozy: nacjonalistyczny i antynacjonalistyczny, a na inne niema miejsca, było z jednej strony powstanie wspólnego socjalistyczno - sanacyjnego „Frontu Ludowego", z drugiej coraz silniejsze zespolenie organizacyj katolickich z młodzieżą narodową.

Podział ten znajduje swój wyraz w nowopowstających organizacjach. Ostatnio zatwierdzono dwie: Koło Twórczości Narodowej (tytuł wystarczająco charakteryzuje kierunek ideowy organizacji) i klub lit.-art. „Volty". Ta dziwaczna nazwa jest zupełnie bezbarwna, dużo mówi zato inauguracyjna dyskusja tego stowarzyszenia poświęcona „Soli ziemi" Witlina. Koło to, obok zadań ideowych, jest także w pewnej mierze placówką charytatywną. Daje bowiem możność „artystycznego wyżycia", a więc a więc i szczęścia sporej grupie grafomanów. Tymże celom służy wydawane od niedawna pismko „Nasz wyraz". Jeśliby rzeczywiście taki był wyraz, jaki daje ów miesięcznik młodzieży akademickiej, to powinno się natychmiast zamknąć uniwersytety i zamienić je na przytułki dla „ćwierćgłówków".

Odbiegając od problemów politycznych trzeba zwrócić uwagę na nader interesujący odczyt prof. Konrada Górskiego o formaliźmie. Wykład wileńskiego uczonego posiadał wartość przedewszystkiem jako źródło naukowej informacji, zaciekawiał przez ostrą a rzeczową, opartą na pracach rosyjskich formalistów (Zirmuńskiego), krytykę tej przebrzmiałej już w swej ojczyźnie, a osiągającej szczyt powodzenia w Polsce, metody literackiej. Prof. Górski nie odmawia formalizmowi zalet, ale uważa go tylko za jedną z pomocniczych metod nauki o literaturze. Ostrze zarzutów, szczególnie przy krytyce formalizmu polskiego, skierowane było, choć prelegent żadnych nazwisk nie wymieniał, przeciw prof. M. Kridlowi. Na temat różnych stanowisk tych uczonych kursuje wśród wileńskich polonistów dobre powiedzenie: „Konrad i Manfred czyli antagonizm wieszczów". Dobrem zrozumieniem metody formalistycznej, jako części badania literackiego, odznaczał się odczyt J. Bielatowicza o „Nocach i Dniach" M. Dąbrowskiej.

O kulturze obcej, w danym wypadku francuskiej, informują Krakowian stałe odczyty, urządzane przez Stow. Przyjaciół Francji. Serję ich rozpoczęła znakomita prelekcja prof. Folkierskiego o Bourgecie. Tłumy słuchaczy zgromadził także, mający posmak egzotyczny, wykład p. Lyauty'a o kolonjach francuskich.

W plastyce niema do zanotowania ważniejszych wydarzeń. Pozory świadczą o jej upadku. Ostatnio w sali wystawowej Zw. Plastyków otwarto... kawiarnię. Należy jednak wątpić, czy te „ipsowskie" metody przyczynią się do pogłębienia artystycznej kultury Krakowian.

MARJAN ŁEBKOWSKI, POZNAŃ

Z OPERY

Debjut Stanisława Dzięgielewskiego. - „Bal w Savoy'u".

Do niewątpliwie zdolnych talentów muzycznych „Młodej Polski" należy znany pianista, piosenkarz-kompozytor Stanisław Dzięgielewski, współpracujący od niedawna na terenie poznańskiej sceny operowej. Mając pewną rutynę oraz fachowe wyrobienie, nabyte dzięki umiejętnemu kierownictwu przełożonych, przedstawił się p. Dzięgielewski jako dyrygent rewjo-operetki „Rose-Marie".

Miły i starannie przygotowany występ młodocianego muzykologa, aczkolwiek posiadał pewne niedociągnięcia, wywołał żywą sympatję i uznanie ogółu społeczeństwa, a także członków orkiestry symfonicznej.

Stanisław Dzięgielewski posiada niemałe zadatki kapelmistrzowskie, które, przy sprzyjających warunkach i racjonalnej, systematycznej pracy, pozwolą mu osiągnąć maximum wydajności artystycznej oraz pewne zadowolenie moralne. „Wena", z jaką prowadził orkiestrę, dopisywała do samego końca: w ujęciu całości znać było sumienną pracę i duże zespolenie się z rolą dyrygenta, który musi opanować nietylko partyturę i poszczególne grupy instrumentów, ale i wydobyć z siebie fluid, udzielający się zespołowi muzycznemu. Frazowanie i dynamika — naogół były dobre, tempo — chwilami nieco za szybkie, co możnaby śmiało przypisać pewnej jeszcze tremie.

Młodemu dyrygentowi należy życzyć dalszych pozytywnych wyników pracy na polu muzycznem oraz zasłużonych potem sukcesów.

* * *

Wystawiona ostatnio operetka Abrahama „Bal w Savoy'u" spotkała się z gorącym aplauzem tutejszych „melomanów", którzy hucznie oklaskują ladajakie, mdłe do znudzenia i banalne dowcipy oraz jeszcze banalniejsze „boys'y, carioci, cangury i trotty".

Jedyna wartość operetki — to piękna wystawa dekoracyjna, którą bardzo sumiennie i pomysłowo przygotował p. Szpingier, — oraz doskonała gra najprzedniejszych artystów — Dudiczówny, Xeni Grey, Majchrzakówny, Szerszyńskiego, Ruszkowskiego, Sendeckiego i Horskiego.

Strona muzyczna „Balu", naszpikowana „przebojowemi" piosenkami, nie przedstawia żadnych walorów, a okruszyna melodyj, zahukana dźwiękami jazzowemi, ginie in statu nascendi brzmienia, będąc mało dostępną dla przeciętnego nawet ucha.

Przygotowanie muzyczne, jak i sceniczne — na bardzo wysokim poziomie, świadczącym o wytrawnej ręce dyr. Dr. Latoszewskiego oraz reżyserji Horskiego.

Wśród książek

Zofja Szymanowska: „OPOWIEŚĆ O NASZYM DOMU". Księżnica-Atlas. Str. 143.

Książka ta, napisana przez siostrę Karola Szymanowskiego i jemu zadedykowana, ma jedną właściwość, która wybitnie wyróżnia ją z pośród wielu innych książek: lektura jej nie pozostawia żadnego śladu w umyśle czytelnika, literalnie żadnego. Z tego względu może nawet dostarczyć przeżycia metafizycznego złudy rzeczywistości, nie wierzy się, że wogóle ta książka istnieje. Bo na nieszczęście nie zawiera nawet rzeczy, któreby przynajmniej irytowały, drażniły, wywoływały pomsty na autora. Mózg najmniejszego udziału w jej konsumowaniu nie bierze, chyba tylko za pośrednictwem jedynego pytania: co usprawiedliwia wydanie tych wspomnień dziecięcych drukiem, — które towarzyszy czytelnikowi do ostatniej stronicy. Bo ani same wspomnienia nie są zbyt ciekawe, ani przeżywająca je nie jest żadną indywidualnością, ani znowu momenty dotyczące Karola Szymanowskiego — liczne i ważne. Jest to banalnie typowo kobieca paplanina. Niesłychana drobiazgowość, szczegółikowość, brak jakiejś konstrukcji, selekcji szczgółów mniej ważnych od błahych, opowiadanie o suczce Gamie jest w takim samym tonie jak opowiadanie o dzieciństwie Karola lub jego pierwszych kompozycjach, choroba ojca jak choroba wspomnianej suczki — wszystko oczywiście roztapia się w obfitej wodzie sentymentalnej. Może to być nawet miłe, niepozbawione uroku, ale w gronie krewnych, rodziny. Poco tem obciążać półki księgarskie? Artyzmu nie widzę, styl skromniutki, niewybredny, akurat jak w sztambuchu panieńskim.

REMIGJUSZ NEY, POZNAŃ.

Adres Redakcji: Poznań, św. Marcin 65. — Telefon 59-97. Konto P. K. O. 201 410. Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65. — Telefon 59-97.
PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką): miesięcznie 0,70 zł, kwartalnie 2,— zł, półrocznie 4,— zł, rocznie 8,— zł.
CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł, ½ strony — 130 zł, ⅓ strony — 90 zł, ¼ strony — 70 zł, ⅛ strony — 40, zł, 1/16 strony — 30 zł.

Przedstawiciel redakcji w Łodzi — Konstanty Dobrzyński (Piotrkowska 91), we Lwowie — Aleksander Kośmiński (św. Zofji 50), w Krakowie — Jan Bielatowicz (Uniw., Coll. Novum). w Wilnie — Stefan Łochtin.
Rękopisów nie zwraca się.
Rękopisów nie zwraca się.

Redaktor naczelny i wydawca: Jan Wyganowski. Red. odpowiedzialny: Władysław Maciąg, Poznań.
Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Spółka z o. o. Poznań, ulica Strzałowa 2 a.